# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 8 Katowice, 19-go lutego 1933


## Na niedzielę Mięsopustną.

### EWANGELJA

**u św. Łukasza rozdział VIII. wiersz 4—15.**

W on czas: Gdy zebrała się wielka rzesza, a i z miasta garnęli się do Jezusa, przemówił w przypowieści: Wyszedł siewca, by zasiać ziarno swoje. I kiedy siał, jedno padło podle drogi, zostało zadeptane, i ptactwo powietrzne wydzióbało je. Inne zaś padło na grunt skalisty, a zakiełkowawszy, uschło, bo nie miało wilgoci. Inne znowu padło między osty, a osty razem wzrosły, i przegłuszyły je. Inne wreszcie padło na ziemię dobrą, i wzrósłszy, przyniosło plon stokrotny.

Mówiąc to, wołał: Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha: I pytali Go uczniowie Jego: Co oznacza ta przypowieść? A On im rzekł: Wam dano poznać tajemnice królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieści, aby „patrzyli, a nie widzieli, i słuchali, a niezrozumieli".

To zaś oznacza owa przypowieść: Ziarnem jest słowo Boże: a podle drogi są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porywa słowo z ich serca, aby przez wiarę nie byli zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy z radością przyjmują słowo, skoro posłyszą; ale ci nie mają korzenia, którzy wierzą do czasu, a w chwili pokusy odpadają. A to, które padło między osty, oznacza tych, co słuchają, ale wśród drogi troskami, bogactwy i rozkoszami życia bywają przyduszeni, i plonu nie przynoszą. A to, co jest na dobrej ziemi, oznacza tych, którzy w dobrem i szczerem sercu, usłyszawszy słowo, zachowują je, i w cierpliwości plon przynoszą.

### LEKCJA.

**z listu św. Pawła do Koryntjan, rozdz. 11.**

Bracia! Chętnie znoście bezrozumnych, będąc sami rozumnymi. Bo znosicie, jeśli kto was w niewolę podbija, jeśli kto pożera, jeśli bierze, jeśli się kto wynosi, jeśli kto was w policzek bije. Mówię według zelżywości, jakobyśmy słabymi byli w tej mierze. W czem kto śmie, w głupstwie mówię śmiem i ja: Hebrajczycy są i ja: Izraelczycy są i ja: Nasieniem Abrahamowem są i ja; słudzy Chrystusowi są (jako mniej mądry mówię) więcej ja: w pracach rozlicznych, w ciemnicach obfitych, w uderzeniach nad miarę, w śmierciach częstokroć. Od żydów wziąłem po pięćkroć czterdzieści plag bez jednej. Trzykroć byłem bity rózgami, raz byłem kamieniowan, trzykrociem się z okrętem rozbił; przez dzień i przez noc byłem w głębi morskiej; w drogach częstokroć, w niebezpieczeństwach rozbójników; w niebezpieczeństwach od rodziny; w niebezpieczeństwach od pogan; w niebezpieczeństwach w mieście; w niebezpieczeństwach na pustyni; w niebezpieczeństwach na morzu; w niebezpieczeństwach między fałszywymi braćmi; w pracy i w kłopocie, w niespaniu częstem, w głodzie, w pragnieniu, w postach częstych, w zimnie i w nagości. Oprócz tych rzeczy, które zewnątrz są; nalegania na mnie codzień, starania o wszystkie kościoły. Któż choruje, a ja nie choruję? Któż się gorszy, a ja nie bywam upalon? Jeśli się potrzeba przechwalać z tego, co słabości mojej jest, przechwalać się będę. Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który jest błogosławiony na wieki, wie, że nie kłamię. W Damaszku, narodu starosta króla Arety strzegł miasta Damasceńskiego, aby mię pojmał. I byłem przez okno w koszu z muru spuszczon, tak żem uszedł rąk jego. Jeśli się chwalić potrzeba (nie pożyteczność wprawdzie): przyjdę do widzenia i objawienia Pańskiego. Znam człowieka w Chrystusie przed czternastu laty, (jeśli w ciele nie wiem, jeśli prócz ciała nie wiem Bóg wie); iż takowy był zachwycony aż do trzeciego nieba. A znam takowego człowieka (jeśli w ciele, jeśli prócz ciała, nie wiem, Bóg wie); że był zachwycon do Raju; i słyszał tajemne słowa, których się człowiekowi nie godzi mówić. Z takich rzeczy się będę przechwalał; a z siebie nie będę się nic przechwalał, jeno z słabości moich. Albowiem choćbym się chciał przechwalać, nie będę głupim; bo prawdę powiem; lecz folguję, aby kto o mnie nie rozumiał więcej nad to, co widzi we mnie, albo słyszy odemnie. Ażeby mię wielkość objawienia nie wynosiła, dan mi jest bodziec ciała, anioł szatanów, aby mię policzkował. Dla tego trzykrociem Pana prosił, aby odemnie odstąpił. I rzekł mi: dosyć ty masz na łasce mojej; albowiem moc w słabości doskonalszą się staje. Rad się tedy przechwalać będę w słabościach moich, aby we mnie mieszkała moc Chrystusa.

### NAUKA.

Posiew Słowa Bożego różnemi drogami dociera do duszy twojej.

Pada do niej ziarno Boże z każdej ambony, z każdej dobrej książki, **z każdego pisma katolickiego.**

Sam Siewca Boży - Zbawiciel rozrzuca hojną ręką ziarno Swoje, a glebę duszy użyźnia łaską, słonecznym promieniem Swych pociech, a często ulewnym strumieniem cierpień i doświadczeń.

Różne są losy ziarna ewangelicznego.

Przed szeregiem lat stał pod amboną jednego z kościołów katolickich duchowny anglikański, wsłuchując się w proste słowa kaznodziei. Jedno ziarnko padło do jego duszy, jedno małe słówko **„wieczność"**, i to ziarnko zapuściło z całą siłą swe korzenie, rosło i krzewiło się wśród walki i burzy wewnętrznej, a po kilku latach wspaniały, stokrotny wydało owoc — anglikański pastor stał się katolikiem i gorliwym obrońcą katolicyzmu.

Na katedrze profesorskiej uniwersytetu paryskiego stał uczony, wykładając z młodzieńczym zapałem nauki swoje. Słuchacz pewien, św. Ignacy, woła do niego w ożywionej dyspucie: Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zdobył, a na duszy

swo'ej szkodę poniósł? — I wielki uczony opuszcza swą katedrę, — a po kilku latach widzimy go w dalekich krajach Indyj i Japonji, nauczającego dzikie szczepy katechizmu. — To św. Franciszek Ksawery. Stokrotny był owoc jednego ziarnka Bożego.

Nie zawsze jednak ziarno Słowa Bożego rozwija się tak pomyślnie. Twarde jak skała jest nieraz serce ludzkie Z oburzeniem przyjmują Słowo Boże. z szyderstwem i naigrawaniem.

Ciernie niskich namiętności i ziemskich interesów tłumia ziarna szlachetniejszych uczuć.

W „dniu żniwa" — na sądzie ostatecznym ujrzymy owoce Słowa Bożego.

Oby były stokrotne! Amen.

## Szlachetny czyn.

*Może nie jest tak trudno zwyciężyć czasem wroga w polu bitwy — jak pokonać siebie samego w chwilj pokus.*

Obok bogatych mieszczan mieszkał w pewnem mieście biedny wyrobnik. który miał żonę i kilkoro dziatek. Był to człek poczciwy. z pracy rąk utrzymywał on swą rodzinę. płacił komorne — i często gęsto jeszcze na jałmużnę parę groszy odłożył. Życie jego było miłe. choć nie w dostatkach. ale gdy Bóg zesłał na niego długą chorobe, gdy odjął mu w ten sposób pracę. nędza najokropniejsza zawitała do jego mieszkania.

Błysło wiosenne słońce. Zchorowany człek począł się trochę czuć silniejszym. a dziękując Bogu za uratowanie życia. wzdychał z utęsknieniem do chwili. w której będzie mógł zarabiać.

Pewnego poranku przyszła do domu żona jego i rzekła:

— Idź. Marceli do ogrodu. Tam tak ciepło. Zdrowiej ci będzie, gdy odetchniesz świeżem powietrzem.

I wyprowadziła męża do małego ogródka. wyniosła stołek, a sama wróciła do izby, by prać. bo tem zarabiała w czasie choroby męża na utrzymanie i życie.

Marceli zadumał się. Patrzył z radością na ptaki składające źdźiebełka na gniazdka, na rozwijające się listki drzew. na niebo jasne. ciche i pogodne. Mały ogródek właściciela domu, u którego Marceli mieszkał. graniczył z dużym ogrodem owych mieszczan bogatych. którzy mieli i kamienice wspaniałą od frontu i młyn dalej nad rzeką. Było ich tam dwóch braci nieżonatych. Skąpcy to byli znani na całe miasto. a życie ich nie zupełnie szło czystą drogą.

Gdy tak Marceli duma w ogródku pod jabłonią, słyszy nagle cichą rozmowę owych dwóch braci bogatych. po drugiej stronie parkanu.

— Nie ma innej rady — mówił starszy — tylko musimy zakopać dziś jeszcze w tem miejscu nasze złoto.

— A czy wiesz z pewnością, że Moskale przyjdą? — pytał młodszy.

— Wiem. obaczysz. że jutro — pojutrze wejdą... ta dzika czerń na pół pijana. nie uszanuje nikogo... będzie rabować i palić. Trzeba schować majątek nasz. bo inaczej mogą zabrać.

— A więc dobrze — odpowiedział młodszy brat. — Tu pod tą lipą na rogu najlepiej będzie. Kopmy zaraz głęboką jamę, potem przeniesiemy kufer, byle nas nikt nie widział.

— E! ktoby tam mógł domyślać się. dlaczego tu kopiemy — odparł starszy. — Jest wiosna, to sobie w ogródku zasadzamy kwiaty.

Ucichła rozmowa, a słychać było tylko od czasu do czasu jakie słowo którego z braci. Widocznie kopali pod lipą.

Biedny wyrobnik. niechcący podsłuchawszy tę rozmowę. zasłonił sobie oczy ręką i zapłakał cicho.

— Mój Boże! — myślał sobie. — Oni tam mają tyle złota. że kufer cały w ziemię zakopują. a ja biedny. na kawał chleba nie mam... Lecz tak Bóg chce — trzeba się zgodzić.

I zebrawszy wszystkie siły. podniósł sie ze stołka i poszedł powoli osłabionym krokiem ku wilgotnej izdebce.

Nadszedł wieczór. W izbie wyrobnika cisza zapanowała. Dziatki posnęły, żona odniosła bieliznę, on oparty o ściane siedział na stołku, a myśli dziwne snuły mu się po głowie.

— Mój Boże! — myślał sobie — coby tu było, gdybym ja tak poszedł nocą i tam z tego kufra nadebrał parę dukatów. Oni mają tak wiele. wiele... a moje dzieci biedne głodne. a ja ginę z niedostatku.

Lecz głos sumienia szepnął mu:

— Nie kradnij!

Obrócił sie Marceli, myśląc, że kto stoi za nim, lecz nikogo nie było.

— Tak! kraść nie wolno — mówił sobie dalej — nie wolno. O! jabym tego nie zrobił. Ale jabym sobie tylko stamtąd pożyczył parę reńskich. a gdy będę zdrów. gdy zarobię — pójdę... włożę i oddam.

Dziecię starsze. śpiące na sienniczku pod ścianą, przez sen zawołało:

— Jeść!

Ojciec biedny jęknął boleśnie.

— Głodne moje dzieci! Głodne!... Mogłyby mieć chleba dość, mógłby Janek chodzić do szkoły, jabym mógł mieć na lekarstwo... oddałbym wszystko, groszabym nie zatrzymał... cóż robić? Te pieniądze przecie i tak będą leżeć zakopane bez użytku, jest ich tyle. Mnie dwie — trzy sztuki jakżeby wiele dały spokoju... ach! co za pokusa...

I znów westchnął — schwycił sie ręką za piersi. bo go tam bolało coś bardzo. kaszel silny zaciągnął mu oddech... łzy z oczu potoczyły się.

Począł się modlić. by Bóg od niego pokusy oddalił.

Wróciła żona. Zmówili wspólnie pacierz. poszli spać. Poczciwa kobiecina spracowana usnęła prędko. lecz Marceli biedny nie mógł usnąć. Straszne pokusy opanowały go. Ciągle przed oczyma migały mu złote dukaty... ciągle mu myśli mówiły — jakby to dobrze było. gdyby on teraz wziął parę sztuk, lecz sumienie osłaniało go swem słowem.

Bóg go strzegł od grzechu.

Noc mijała powoli. U sąsiada zegar wydzwonił godzinę dwunastą — pierwszą — drugą. Marceli jeszcze nie spał.

Wszystko śpi teraz — szeptał mu znowu głos pokusy — nikt nie obaczy — pójdź, weź parę sztuk — potem włożysz. Wszak tylko pożyczysz. Przecież byłeś i u tych i u owych ludzi, a nikt ci nie dał. Pożycz, idź, spiesz się, bo gdy ranek przyjdzie, będzie już zapóźno.

— Ale czy to poczciwie tak robić? — pyta sumienie — czy to szlachetnie iść w nocy i brać z cudzej własności choćby odrobinę, choćby źdźbło słomy?

— Nie! — szepnął Marceli, ocierając pot z czoła. — Pamiętam, gdym był dzieckiem, ojciec mój mówił mi: Poczciwość trwa najdłużej. Bóg nie opuszcza tych, co strzegą się złych czynów... nie — wolę, niech i ja cierpię i dzieci moje, ale niech grzechu nie będzie. Nie pójdę.

Obrócił się — chciał zasnąć. Lecz straszne pokusy nie odstępowały go.

— Przyjdą Moskale — szeptały mu myśli — i wezmą pieniądze. Dzieci ci pomrą z głodu, ty zginiesz marnie — a gdy będziesz miał trochę grosza, prędzej dasz sobie radę. Pomieszkanie nie zapłacone już dwa miesiące, w sklepie już chleba nie chcą nawet dawać bez pieniędzy — dziś żona po drodze śmiecie zbierała, by było czem zapalić — a tam tyle pieniędzy.

— Pójdę! — szepnął biedak i począł się ubierać po cichu by żona nie słyszała.

Słaby, ledwie miał siłę odziać się. Włożył sukmankę, czapkę wziął do ręki, a wtem jedno z dzieci przez sen szepnęło:

— Tato dobry! tato bardzo dobry!

Marceli odwrócił się na te słowa — westchnął; poszedł zwolna przed obraz Matki Boskiej — ukląkł i modlił się długo. Potem wyszedł z izdebki i zniknął w ciemnościach nocy.

* * *

W bogatych pokojach zamożnych mieszczan cisza panowała. Obaj bracia spali spokojnie. Wtem przyszedł stróż ze świecą, zbudził starszego brata i rzekł:

— Jakiś człek w sukmanie przyszedł i chce koniecznie się z panem widzieć, bo mówi, iż ma bardzo ważny interes.

— Cóż to może być takiego, nie wiesz?

— Nie wiem — jeno on prosi, aby zaraz tu mógł przyjść i powiedzieć, czego żąda.

Zdziwiony niezmiernie tem zdarzeniem bogacz, obudził brata — radził się chwilę, a wreszcie kazał wprowadzić nieznajomego.

Poczęło już świtać. W pokoju blade światło jutrzenki rzucało śliczny urok na bogate sprzęty — na dywany i obrazy, a blady — schorowany i mizerny wieśniak drżącym głosem rzekł:

— Wielmożni panowie! Nie chcąc, dowiedziałem się o tem, żeście zakopać mieli dużo złota w waszym ogrodzie pod lipą. Przyszedłem was prosić bardzo pokornie. Weźcie stamtąd ten kufer i zakopcie go w inne miejsce, abym nie był kuszony od grzechu.

— Jakto? — zawołali bracia ze zdziwieniem — ty, biedak ginący z głodu, możesz być tak poczciwym i umiesz powstrzymać się od kradzieży?

— Nie myślcie, że bieda do grzechu prowadzi, kto chce być poczciwym, ten nim zostanie i w najokropniejszym niedostatku i wśród pokus najstraszniejszych.

To rzekłszy — skłonił się Marceli uprzejmie wyszedł, chwiejąc się.

Po jego odejściu bracia bogaci długo słowa nie przemówili ze zdziwienia. Nareszcie rzekł młodszy:

— Poślijmy mu parę reńskich.

— Co? parę reńskich? Jabym mu dał to wszystko złoto, com tam zakopał — zawołał starszy. — On bardziej od nas powinien być szczęśliwym. Ja życie straciłem do tej pory na próżniactwie, on pracował uczciwie.

W tej chwili ozwały się trąbki wojskowe na ulicy miasta. Weszło wojsko polskie wracając z bitwy, a lud witał żołnierzy okrzykami radości.

Młodszy brat otarł po chwili łzę z oka i szepnął jakby do siebie:

— Ci bohaterowie wiele zrobili, ale kto wie, czy ów biedak w sukmanie nie jest większym zwycięzcą od nich... Nikt o jego walce nie wie — nikt go nie wita okrzykiem — u niego w domu głód, nędza i łzy. Lecz ja je otrę — on mię nauczył, co to znaczy być uczciwym. Kto ma majątek, powinien nim roztropnie rządzić, nie zakopywać go w ziemię.

I odkopali bracia skarb. Jedną część dali Marcelemu tytułem pożyczki; drugą część wojsku polskiemu na potrzeby kraju, a trzecią złożyli w kasie z prośbą, by były pożyczane biednym, dopóki sami nie wrócą i nie będą ich potrzebowali.

Sami wstąpili do wojska i dzielnie się bili.

Marceli wkrótce wrócił do zdrowia. Spokój sumienia dodał mu sił.

## Legenda o jaskółce.

Gdy Bóg ukarał ziemię potopem i arka Noego płynęła po głębinach wodnych, szatan umyślił zgubę wszystkich istot żyjących, które znalazły w Arce schronienie.

Zamieniony w mysz, przegryzł dziurę w dnie arki. Woda zaczęła napływać do korabia. Na szczęście wąż spostrzegł wcześnie niebezpieczeństwo, przysunął się do otworu i zatkał go własnym ogonem. Tym sposobem zatamował wodę przez czas potopu.

Arka zatrzymała się na górze Ararat i Noe z rodziną i wszystkiemi stworzeniami ocalał od zguby. Wtedy Bóg wezwał węża i rzekł:

— Za to żeś ocalił rodzaj ludzki, dam ci na pożywienie zwierzę, jakie sobie sam wybierzesz.

— Daj mi, Panie, czas — odparł wąż — abym mógł się przekonać, które zwierzę ma krew najsmaczniejszą.

Bóg pozwolił.

Wtedy wąż wysłał na wywiady komara. Komar długo latał po ziemi, skosztował krwi wszystkich zwierząt i doszedł do przekonania, że najsmaczniejszą krew posiada człowiek i z taką odpowiedzią wracał do węża.

W drodze spotkał jaskółkę i na zapytanie ptaszyny, gdzie był, komar odpowiedział:

— Latałem z polecenia węża kosztować jakiego zwierzęcia krew jest najsmaczniejsza. Wracam powiedzieć mu, że najsłodszą krew posiada człowiek.

Zaledwie komar zdążył wymówić te słowa, jaskółka rzuciła się i wydarła mu język z korzeniem. Komar nie mógł wymówić ani słowa i niemy powrócił do węża. Jaskółka pospieszyła za nim.

Gdy Bóg zapytał, czyja krew jest najsmaczniejsza, komar zabrzęczał tylko i nie mógł zrozumieć, co chciał powiedzieć:

Wtedy jaskółka się ozwała:

— Panie! komar mówi, że najsmaczniejszą krew posiada żaba.

— Niech więc żaba będzie dla ciebie pokarmem — rzekł Bóg do węża i odtąd węże żyją przeważnie żabami.

Wąż. rozgniewany na jaskółkę chciał ją ukąsić i schwycił za ogon. lecz zwinna ptaszyna wyrwała się i uciekła zostawiając w paszczy węża środek ogona.

Odtąd jaskółka ma zawsze ogon rozdwojony, a ludzie strzegą jej jak najlepszego przyjaciela.

# Krzywa wieża.

Legenda bretońska.

Bretanja jest prowincją nad morzem położoną w północnej Francji. Mieszka tam lud pracowity, bardzo pobożny. posiadający także dużo zamiłowania do poezji. To też podobnie jak u nas Polaków krąży tam wśród ludu mnóstwo podań i legend na tle religijnym. Taką legendą jest też poniższa, jaką opowiadają sobie mieszkańcy miasta Tregnier i okolicy.

Od bardzo dawnych czasów śpiewają w kościele katedralnym w Tregnier zaraz po sumie przed błogosławieństwem jeden psalm z nieszporów. Z jakiego powodu zwyczaj ten został zaprowadzony, niewiadomo, ale wśród ludzi powstała na tle tego zwyczaju następująca legenda:

Ongi. bardzo dawno temu. djabeł zmęczony harcowaniem po świecie. postanowił odpocząć sobie na wieży katedry w Tregnier. Lecz. jak tylko wdrapał się na szczyt. punkt ciężkości zmienił się i wieża poczęła się chylić jak owa słynna pochyła wieża w Pizie.

Ogromne przerażenie w mieście — księża padają ze znużenia. Ale ani modły, ani procesje, nowenny i posty nie pomagają... szatan ani myśli się ruszać, a wieża grozi upadkiem.

Wtedy, widząc, że krucho, proboszcz parafji postanowił pogadać z samym djabłem. Rankiem pewnej niedzieli winduje się starowina na wieżę. A djabeł jak nic siedzi sobie między dzwonami i gra na flecie.

— Dzień dobry majsterku! — mówi proboszcz, uchylając kapelusza.

— Cóż to majstrem mnie nazywasz? Nie boisz się zuchwalcze? a „ekscelencjo" nie łaska?

— Dzień dobry ekscelencjo! niech i tak będzie — odparł proboszcz wcale nie zbity z tropu.

— Dzień dobry. dzień dobry — odburknął djabeł. — No i po coś przyszedł? Chyba nie po to, żeby mnie na obiad zaprosić? Grałem sobie w najlepsze, a tu mnie nagabują... idź do swojej roboty, a mnie nie przeszkadzaj.

— Kiedy chciałem.

— Jakie kiedy? Coś chciał?

— Chciałem cię prosić, żebyś wyprostował wieżę i wyniósł się stąd.

Słysząc to powiedzenie djabeł. schował flet do kieszeni i ryknął szyderczo:

— Ha! ha! hi! hi! bagatela! tylko tyle! jak mnie potrzeba to przychodzicie do mnie, a potem do widzenia?

— Djabelnie byś nas zobowiązał — prosił ksiądz — kładąc nacisk na słowo „djabelnie", żeby pozyskać łaski złego ducha.

— Zresztą dobrze ! — rzekł djabeł zniecierpliwiony. — Odprostuję wieżę, ale pod jednym warunkiem, małym waruneczkiem...

— Słucham ekscelencji.

— O drobnostkę mi chodzi, ot fantazja. Odstąp mi księże dusze niewiast. które dzisiaj między mszą a nieszporami zdradzą swoich mężów.

— Zgoda! jaknajchętniej — odparł bez namysłu ksiądz — a teraz prostuj wieżę!

Djabeł spełnił na poczekaniu obietnicę i uleciał jak to jego zwyczajem w postaci kłębów dymu. — Ksiądz zaś zeszedł szybko nadół, bo nadchodziła godzina nabożeństwa.

Lecz kiedy już stanął w zakrystji i miał przywdziać ornat, zrobił w duchu przegląd wszystkich kobiet parafji i złapał się za głowę... Przypomniał sobie także, jakto djabeł wprawny jest w kuszeniu dusz i jak do tego często właśnie wybiera niedzielę, gdy ludzie mniej zajęci są pracą.

— A tom się spisał! — pomyślał ksiądz — tego się obłowi, a w dodatku pewnie i moją duszę dostanie.

Ale proboszcz ten taki był chytry, że i djabła potrafił w pole wyprowadzić. Zastanowił się chwilę i już miał figiel gotowy.

— A gdybym tak wprowadził nieszpory do mszy — rzekł do siebie — nie pozwoliłbym kobietom na powrót do domu, a równocześnie ocaliłbym te, które nie przyszły do kościoła, bo między obu nabożeństwami skasowałbym tem samem przerwę...

Jak pomyślał, tak zrobił i djabeł dostał figę, a wieża stoi prosto aż do tej chwili.

Od tego czasu na pamiątkę wypłatanej djabłu psoty, śpiewają zawsze w Tregnier podczas sumy jeden psalm z nieszporów.

# Węże — ptaki: słowik, sowa i sikora.

Było to dawno, wtedy jeszcze, kiedy węże nie pełzały na brzuchu, tylko miały nogi i biegać mogły po ziemi, a zły duch się w nie przebierał niekiedy, gdy na ludzką szkodę czatował.

Raz kiedy Najświętsza Panna szła lasem zamyślona o Swoim Synaczku, z za drzewa nagle wyskoczył wąż taki i przestraszył Ją, że się Jej wszystkie święte myśli rozsypały, więc zawołała: — A ty gadzie szkaradny!... za to, żeś mię przeraził, snuj-że się odtąd, jak nitka po ziemi. I padalcowi nogi odpadły zaraz, począł pełzać piersiami w prochu legnął, a od owego czasu ma wielki respekt przed Najświętszą Panną, czekając: czy się nad nim nie zlituje i nóg mu nie powróci.

Każdego roku w dzień Narodzenia Matki Boskiej podczas sumy, gdy ksiądz z kazaniem wychodzi na ambonę, węże i żmije wyłażą na drzewa i nasłuchują, czy się o sobie czego dobrego nie dowiedzą, a potem opuszczają się smutnie i zawstydzone na ziemię i na zimowe leże rozłażą się po kryjówkach z wyjątkiem tych, co ukąsiły w lecie człowieka, bo takie muszą pełzać póty, póki ich kto nie uśmierci.

Temu zaś, co skusił w raju Ewę i żądło z jadem grzechu w duszę pierwszych rodziców zapuścił, Najświętsza Panna sama własną stopą głowę przydeptała. Pan Jezus tymczasem rósł pod okiem Matki Swojej i między ludźmi przebywał, jak człowiek z dziećmi rówieśnikami bawił się pospołu, jak dziecko dla zabawki lepił z nimi ptaszęta z gliny i puszczał je na powietrze, a one z rąk Jego wylatywały żywe z piosenką radosną, zaś te, co inne dzieci ulepiły pozostawały martwą gliną. Tak z Jezusowych rączek wyleciał słowik, sikora i sowa z ptasiemi skrzydłami, a kocim łbem, którą niezgrabnie zlepiły małe żydzięta, a którą na ich prośby Pan Jezus życiem obdarzył, aby uciechę z tego miały.